



**GEORGE
ORWELL**

**Niech żyje
aspidistra!**

**GEORGE
ORWELL**

**Niech żyje
aspidistra!**

Przekład
Mirostław P. Jabłoński

vis-à-vis
etuda

Kraków 2023

Tytul oryginalu: *Keep the Aspidistra Flying*

Gdybym mówił językami ludzi i aniołów, a pieniędzy bym nie miał, stałbym się jako miedź brzęcząca albo cymbał brzącający. Gdybym też miał dar prorokowania i znał wszystkie tajemnice i posiadał wszelką wiedzę i wszelką [możliwą] wiarę, tak iżbym góry przenosił, a forsę bym nie miał, byłbym niczym. I gdybym rozdał na jałmużnę całą majątność moją, a ciało wystawił na spalenie, lecz kasy bym nie miał, nic bym nie zyskał. Forsa cierpliwa jest, łaskawa jest. Mamona nie za-zdrości, nie szuka poklasku, nie unosi się pychą; nie dopuszcza się bezwstydu, nie szuka swego, nie unosi się gniewem, nie pamięta złego; nie cieszy się z niesprawiedliwości, lecz współweseli się z prawdą. Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, we wszystkim pokłada nadzieję, wszystko przetrzyma. Tak więc trwają wiara, nadzieja i pieniądze – te trzy, z nich zaś największa jest forsą.

Biblia Tysiąclecia, 1 List do Koryntian, 13 (zaadaptowany)

I

Zegar wybił wpół do trzeciej. W małym pomieszczeniu na zapleczu księgarni pana McKechniego, Gordon – Gordon Comstock, ostatni potomek rodziny Comstocków, mający dwadzieścia dziewięć lat i już nieco zmęczony życiem – siedział niedbale przy stole, otwierając i zamykając kciukiem paczkę papierosów Player's Weights za cztery pensy.

Ding-dong innego, bardziej odległego zegara – spod „Księcia Wali” po drugiej stronie ulicy – rozeszło się w nieruchomym powietrzu. Gordon zdobył się na wysilek, usiadł prosto i włożył paczkę papierosów do wewnętrznej kieszeni. Strasznie chciał zająrać. Jednak zostały mu tylko cztery fajki. Była środa, a przed piątkiem nie mógł liczyć na żadną kasę. Byłoby cholernie źle, nie mieć nic do palenia dziś wieczorem, a także jutro.

Udręczony na zapas perspektywą jutrzejszych godzin bez szluga, wstał i ruszył do drzwi – niska, wątła, drobnokościasta postać o niespokojnych ruchach. W marynarce brakowało środkowego guzika, jej prawy rękaw był wytarty na łokciu; kupne flanelowe spodnie były poplamione i bez fasonu. Nawet z góry było widać, że musi podzelać buty.

Kiedy wstał, w kieszeni zadzwoniły mu drobniaki. Dokładnie wiedział, ile ich jest. Pięć i pół pensa – dwa i pół pensa i trzypensówka. Zatrzymał się, wyjął żalospną trzypensówkę i przyjrzał się jej. Cholerny bezużyteczny badziew! Trzeba głupca, żeby ją wziąć! „Nie ma pan nic

przeciwko trzypensówce, prawda, sir?”, zaświergotała ta mała suka za ladą. A on oczywiście się zgodził. „Och, bynajmniej”, powiedział – głupiec, cholerny głupiec.

Mierzila go myśl, że całego majątku ma tylko pięć i pół pensa, w tym trzypensówkę, której nawet nie dało się wydać. Bo jak można cokolwiek kupić za trzy pensy? To nie jest moneta, tylko rebus. Kiedy wyjmujesz ją z kieszeni, wyglądasz na skończonego durnia, chyba że moneta znajduje się w garści bilonu. „Ile?”, pytasz. „Trzy pensy”, odpowiada sprzedawczynie. A wtedy ty grzebiesz w kieszeni i wylawiasz ten absurdalny śmieć, pojedynczy, przyklejony do czubka palca jak krążek do gry w pchelki. Sprzedawczynie prycha. Momentalnie wie, że to twoje ostatnie trzy pensy. Widzisz, że szybko zerka na monetę – zastanawia się, czy nadal są na niej resztki bożonarodzeniowego puddingu¹. A ty wychodzisz dumnie, z zadartym nosem, wiedząc, że nigdy więcej nie wrócisz do tego sklepu. Nie! Nie wydamy naszej trzypensówki. Zostało dwa i pół pensa – dwa i pół pensa, aż do piątku.

Była spokojna pora po lunchu, można się było spodziewać, że prawie nie będzie klientów. Przebywał sam wśród siedmiu tysięcy tomów. Małe, ciemne, przesiąknięte zapachem kurzu i butwiejącego papieru pomieszczenie, które prowadziło do biura, wypełniały po brzegi książki, głównie wiekowe i niechodliwe. Na górnych półkach, pod sufitem, stosy tomów *quarto* nieaktualnych encyklopedii osuwały się na bok, jak warstwy trumien w zbiorowych mogiłach. Gordon rozsunał niebieską przesyconą kurzem kotarę służącą za drzwi do następnego pomieszczenia. To,

¹ Monety zapiekane w bożonarodzeniowym puddingu miały przynosić szczęście (przyp. tłum.).

lepiej oświetlone od poprzedniego, mieściło wypożyczalnię. Była jedną z tych groszowych, ulubionych przez złodziei książek. Oczywiście były tu wyłącznie powieści. Za to *jaki!* Ale to także było oczywiste.

Trzy ściany pokrywało aż pod sufit osiemset tomów, rzędy prostokątnych grzbietów, jakby pokój zbudowano z postawionych na sztorc różnokolorowych cegieł. Ułożono je alfabetycznie. Arlen, Burroughs, Deeping, Dell, Frankau, Galsworthy, Gibbs, Priestley, Sapper, Walpole. Gordon patrzył na nie z bezsilną nienawiścią. W tej chwili nienawidził wszelkich książek, a powieści najbardziej ze wszystkich. Strasznie było myśleć o tym mnóstwie zawilgłych niewydarzonych szmir zgromadzonych w jednym miejscu. Budyń, budyń z loju. Otaczało go osiemset porcji puddingu – puddingowa krypta. Myśl była przytłaczająca. Przeszedł przez drzwi do frontowej części sklepu. Idąc, przyglądał włosy. To był nawyk. W końcu przed szklanymi drzwiami mogły stać dziewczęta. Gordon nie miał imponującego wyglądu. Mierzył niecały metr siedemdziesiąt wzrostu, a ponieważ zwykle nosił nieco za długie włosy, sprawiało to wrażenie, że jego głowa jest trochę za duża w stosunku do ciała. Nigdy całkiem nie zapominał o swoim niskim wzroście. Kiedy wiedział, że ktoś na niego patrzy, trzymał się bardzo prosto, wypinał pierś i przybierał pogardliwą minę, co niekiedy zwodziło prostaczków.

Jednak na zewnątrz nikogo nie było. Frontowe pomieszczenie, w przeciwieństwie do reszty sklepu, wyglądało elegancko i kosztownie, i mieściło około dwóch tysięcy książek, pomijając te z wystawy. Z prawej strony znajdowała się szklana gablota z książeczkami dla dzieci. Gordon odwrócił wzrok od paskudnej rackhamowskiej

obwoluty; elfiątka, wzorem Wendy², płały na polance pełnej dzwonek. Spojrzał przez szklane drzwi. Paskudny dzień, wiatr się wzmagal. Niebo było ołowiane, uliczny bruk śliski. Był trzydziesty listopada, dzień świętego Andrzeja. Antykwariat McKechniego znajdował się na rogu nieforemnego placu, powstałego u zbiegu czterech ulic. Po lewej stronie, ledwo widoczny od drzwi, rósł wielki wiąz, teraz bezlistny, którego gąszcz gałęzi tworzył na niebie koronkę w kolorze sepii. Naprzeciwko, obok „Księcia Walii”, ciągnął się wysoki parkan upstrzony plakatami reklamowymi markowych produktów spożywczych i leków bez recepty, namawiającymi do zepsucia sobie kiszki takim czy innym syntetycznym świństwem. Galeria monstrualnych lalkowatych twarzy – różowych, bezmyślnych, pełnych durnego optymizmu. QT Sauce, Truweet Breakfast Crisps („Dzieciaki szaleją za chrupkami śniadaniowymi”), Kangaroo Burgundy, Vitamalt Chocolate, Bovex³. Ze wszystkich Bovex gnębił Gordona najmocniej. Szczurawaty urzędniczyna w okularach, o przylizanych włosach, siedział przy stoliku w kafejce, szczerząc się znad białego kubka Bovexu. „Roland Butta lubi popijać swój posiłek Bovexem” – głosił slogan reklamowy.

Gordon skupił wzrok bliżej. Z matowej od kurzu szyby spojrzalo na niego odbicie jego twarzy. Nieladnej. Jeszcze nie trzydziestoletniej, a już zniszczonej. Bar-

² Arthur Rackham (1867–1939) – ang. ilustrator książek dla dzieci; Wendy Darling – postać ze sztuki i książki J.M. Barriego o Piotrusiu Panie (przyp. tłum.).

³ Nazwy fikcyjnych marek produktów. QT Sauce nawiązuje do HP Sauce, Kangaroo Burgundy sugeruje poślednie australijskie wino, a Vitamalt Chocolate wyrób czekoladopodobny ze słodu, Bovex zaś nawiązuje do Bovril – słonej, gęstej pasty z ekstraktu wołowego (przyp. tłum.).

dzo bladej, z nieścieralnymi zmarszczkami zgorzknienia. Zwieńczonej tym, co ludzie nazywają „mądrym” czołem – to znaczy wysokim. Miał jednak wąski spiczasty podbródek, więc całe oblicze było raczej gruszkowate niż owalne. Myszowate i rozczochrane włosy, nieżyczliwe usta, piwnozielonkawe oczy. Ponownie spojrzął w dal. Obecnie nienawidził luster. Na zewnątrz było ponuro i zimno. Tramwaj, niczym ochryply stalowy labędź, prześlizgnął się zgrzytliwie po bruku, wiatr zmiótł za nim szczątki zdeptanych liści. Gałęzie wiązu zakolysały się, wyginając się na wschód. Plakat reklamujący QT Sauce był naderwany z boku; strzęp papieru trzepotał gwałtownie, jak malutki proporzec. Nagie topole rosnące wzdłuż trotuaru w bocznej uliczce z prawej strony pochylały się mocno pod naporem wiatru. Paskudny, zimny i wilgotny wichur. Brzmiał w nim ton groźby; pierwszy gniewny pomruk zimy. W głowie Gordona z bólem rodziły się dwie linijki wiersza: Ostro jakiś wiatr... na przykład groźny wiatr? Nie, lepiej złowróźbny. Złowróźbny wiatr dmie... nie, powiedzmy, przygina. Coś tam topole – uginające się topole? Nie, lepiej gnące się topole. Asonans między gnące a złowróźbne? Nie szkodzi. Gnące się topole, świeżo obnażone.

*Złowróźbny wichur ostro dmie,
gnąc topole, świeżo obnażone⁴.*

Dobrze. Do „obnażone” koszmarnie trudno się rymuje, ale zawsze jest „strwożone”, do którego każdy poeta, poczynając od Chaucera, wysiła się, żeby znaleźć rym.

⁴ Dwie pierwsze linijki wiersza Orwella *St Andren's Day* (1935) (przyp. tłum.).

Jednak natchnienie opuściło Gordona. Przerzucił drobne w kieszeni. Dwa pensy, pół pensa i trzypensówka – dwa i pół pensa. Umysł miał ocieężał ze znużenia. Nie dawał sobie rady z rymami i przymiotnikami. Nie idzie, kiedy się ma w kieszeni jedynie dwa i pół pensa.

Ponownie skupił wzrok na plakatach naprzeciwno. Jebane cholerstwa. Miał prywatne powody, żeby ich nie-nawidzić. Mechanicznie ponownie przeczytał slogany. „Kangaroo Burgundy – wino dla Brytyjczyków”. „Astma ją dusi!”. „Sos QT raduje mężusia”. „Wędruj cały dzień o tabliczce Vitamaltu!”. „Masz »myślące czoło«? Przyczyną jest lupież!”. „Dzieciaki szaleją za chrupkami śniadaniowymi”. „Zapalenie dziąseł? Nie ja!”. „Roland Butta lubi popijać swój posiłek Bovexem”.

Ha! Klient – przynajmniej potencjalny. Gordon stęzał. Stojąc przy drzwiach, można było patrzeć z ukosa przez szybę wystawy, samemu nie będąc widzianym. Przyjrzał się ewentualnemu klientowi. Przyzwoicie wyglądający mężczyzna w średnim wieku, w czarnym garniturze, meloniku, z parasolem i teczką – prowincjonalny prawnik lub urzędnik miejski – zerkał na witrynę dużymi jasnymi oczami. Miał wzrok winowajcy. Gordon powiódł spojrzeniem tam, gdzie patrzył nieznajomy. Ach! Więc o to szło! Wyniuchał w odległym kącie pierwsze wydanie D.H. Lawrence’a. Oczywiście szpera w poszukiwaniu świństw. Pewnie słyszał coś o lady Chatterley. Ma złą twarz, pomyślał Gordon. Błądą, obwisłą, zarosniętą, o nieprzyjemnych konturach. Walińczyk, sądząc na oko – w każdym razie, nonkonformista⁵. Miał regularne worki wokół

⁵ Nonkonformiści – rel. protestanci ang., którzy w przeciwieństwie do wyznawców religii państwowej, anglikanizmu, nie przyjęli aktu uniformistycznego (Act of Uniformity) z 1662 r. (przyp. tłum.).

kącików ust, charakterystyczne dla sekciarzy. U siebie przypuszczalnie przewodniczący Ligi Czystości lub Nadmorskiego Komitetu Czujności (trzewiki na gumowych podszwach i elektryczna latarka, wypatrywanie par calujących się na nadmorskiej promenadzie), teraz na występach w mieście. Gordon chciał, żeby tamten wszedł. Sprzeda mu egzemplarz *Zakochanych kobiet*. Ale się rozczaruje!

Ale nie. Walijski prawnik stchórzył. Wetknął parasol pod pachę i odszedł, cnotliwie ukazując plecy. Jednak niewątpliwie wieczorem, kiedy ciemność skryje jego rumieniec, wślizgnie się do któregoś z przybytków pornografii i kupi *High Jinks in Parisian Convent* Sadie Blackeyes⁶. Gordon odwrócił się od drzwi w stronę regałów z książkami. Na półkach na lewo od wyjścia z wypożyczalni trzymane były nowe i prawie nowe pozycje – obszar jaskrawych barw mający przyciągnąć wzrok każdego, kto by zajrzał przez szybę w drzwiach. Ich nieskazitelnie lśniąca grzbiety zdawały się tęsknie wołać z półek: „Kup mnie, kup mnie”. Powieści świeżo spod prasy – wciąż niezbrukane oblubienice⁷ tęskniące za nożem do papieru, który je rozdzielczy – oraz egzemplarze recenzyjne niczym młode wdowy, nadal w rozkwicie, choć już nie prawiczki, a tu i ówdzie, w zestawach po pół tuzina, te żalosne staropanięskie „resztówki”, nadal z nadzieją broniące swojego długo pielęgnowanego dziewictwa. Gordon odwrócił spojrzenie od „resztówek”. Przywoływały złe wspomnie-

⁶ Sadie Blackeyes – wł. Pierre Mac Orlan, ur. jako Pierre Dumarchey (1882–1970), fr. pisarz i autor piosenek.

⁷ Gordon nawiązuje do początku *Ody na urnę grecką* Johna Keatsa – „Oblubienico miru nieskalana...”, przekł. Z. Przesmycki Miriam (przyp. tłum.).

nia. Jedynej nieszczęsnej książeczki, którą opublikował dwa lata temu, sprzedało się dokładnie sto pięćdziesiąt trzy egzemplarze, po czym została „zresztkowana”; nie szła nawet na wyprzedazy. Minał nowości i zatrzymał się przed półkami, które biegły do tamtych pod kątem prostym i dźwigały kolejne używane książki.

Na prawo znajdowały się regaly z poezją. Przed sobą miał prozę, istny galimatias. Tomy były posortowane od góry do dołu, czyste i drogie na poziomie wzroku, tanie i zszargane pod sufitem i przy podłodze. We wszystkich tutejszych księgarniach toczą się darwinowskie zmagania, w których dzieła żywych autorów grawitują ku poziomowi wzroku, a tych martwych ku dołowi bądź ku górze – w dół do Gehenny lub w górę na tron, ale zawsze z dala od miejsca, w którym mogłyby zostać zauważone. Na półkach przy podłodze gnili w ciszy „klasycy”, wymarłe potwory epoki wiktoriańskiej. Scott, Carlyle, Meredith, Ruskin, Pater, Stevenson – na szerokich niechlujnych grzbietach ledwo można było odczytać nazwiska. Na samej górze, niemal poza zasięgiem wzroku, drzemaly opasłe biografie książąt. Pod nimi, wciąż chodliwa, w związku z tym na wyciągnięcie ręki, znajdowała się literatura „religijna” – chaotycznie stłoczone wszystkie sekty i wyznania. *The World Beyond* autora *Spirit Hands Have Touched Me*. *Life of Christ*. *Jesus the First Rotarian* dziekana Farrara. Najnowsza książka ojca Hilaire Chestnuta o agitacji kościoła rzymskokatolickiego. Religia zawsze się sprzedaje, zakładając, że jest wystarczająco naiwna. Poniżej, dokładnie na wysokości wzroku, współczesne pozycje. Najnowszy Priestley. Liche przedruki „średniaków”. Podnoszący na duchu „humor” Herberta, Knoxa i Milne’a. Także trochę intelektualnych pozycji. Po parę powieści Hemingwaya

i Virginii Woolf. Inteligentne pseudostracheyowskie lekkostrawne biografie. Snobistyczne wyrafinowane książki o uznanych malarzach i poetach autorstwa tych bogatych młodych dupków, którzy z taką łatwością prześlizgują się z Eton do Cambridge, a z Cambridge do literackich czasopism.

Tępy m wzrokiem patrzył na ścianę książek. Nienawidził ich wszystkich, starych i nowych, intelektualnych i banalnych, przemądrzałych i wesolkowatych. Sam ich widok uświadamiał mu własną twórczą niemoc. Rzekomo „pisarz”, nawet nie był w stanie „pisać”! To nie była jedynie kwestia bycia niepublikowanym; nie tworzył nic lub prawie nic. A wszystkie te szmiry zawałające półki – cóż, przynajmniej istniały, były swego rodzaju osiągnięciem. Nawet Delle i Deepingi produkują rocznie przynajmniej akr druku. Jednak najbardziej nienawidził bufonowatych „kulturalnych” książek. Krytycznych i beletrystycznych. Takich, które tamte bogate młode dupki z Cambridge piszą niemal mimochodem – i jakie mógłby pisać Gordon, gdyby miał nieco więcej pieniędzy. Forsa i kultura! W takim kraju jak Anglia nie da się bez pieniędzy być kulturalnym człowiekiem, tak jak nie możesz wstąpić do Cavalry Club. W tym samym odruchu, który każe dziecku szturchać kiwający się ząb, wyjął snobistycznie wyglądający tom – *Some Aspects of the Italian Baroque*⁸ – otworzył go, przeczytał akapit i z mieszaniną wstrętu i zawiści wsunął na miejsce. Ta druzgocząca wszechwiedza! Chorobliwe okularnicze wyrafinowanie! Bo poza wszystkim co się za tym kryje, oprócz pieniędzy? Kasa na odpowiednie wykształcenie, forsa dla wpływowych przyjaciół, pieniądze na

⁸ Pozycja fikcyjna (przyp. tłum.).

wypoczynek i spokój ducha, na podróże do Włoch. Mamona pisze książki, mamona je sprzedaje. Nie dawaj mi cnotliwości, Panie, daj mi kasę, tylko kasę.

Brzęknął monetami w kieszeni. Miał prawie trzydziestkę na karku i niemal niczego nie dokonał; wydał jedynie ten żaloszny tomik poezji, który okazał się kompletnym fiaskiem. A od tamtej pory, przez całe dwa lata, błądził w labiryncie okropnego utworu, który ani trochę nie posunął się naprzód i który, jak był tego świadom w okresach jasności umysłu, nigdy nie posunie się ani o krok dalej. Z możliwości „pisania” odzierał go brak pieniędzy, zwykły niedostatek szmalu. Trzymał się tego poglądu, jak artykułu wiary. Czy bez forsy, pozwalającej oddać się temu całym sercem, można napisać choćby groszową nowelkę? Inwencja, energia, dowcip, styl, wdzięk – to wszystko powinno być opłacone żywą gotówką.

Tym niemniej patrząc wzdłuż półek, czuł lekką poaciechę. Bardzo wiele książek było wyblakłych i nieczytelnych. W końcu wszyscy jedziemy na jednym wózku. *Memento mori*. Was, mnie i snobistycznych młodziaków z Cambridge czeka to samo zapomnienie – chociaż niewątpliwie w wypadku tych przemądrzałych gówniarzy z Cambridge będzie to trwało dużo dłużej. Spojrzał na spłowiałych „klasyków” u swoich stóp. Martwi, wszyscy martwi. Carlyle i Ruskin i Meredith i Stevenson – wszyscy nie żyją. Niech gniją z Bogiem. Spojrzał na wyblakłe tytuły. *Collected Letters of Robert Louis Stevenson*. Ha, ha! Dobrze sobie. *Collected Letters of Robert Louis Stevenson*! Górna krawędź czarna od kurzu. Prochem jesteś, w proch się obrócisz. Gordon kopnął płócienny grzbiet Stevensona. Jesteś tam, stary oszuście? Jesteś tak martwy, jak tylko może być Szkot.

Dzyń! Dzwonek nad drzwiami. Gordon się odwrócił. Dwie klientki do wypożyczalni.

Do środka, grzebiąc w wiklinowym koszyku, wślizgnęła się zdeprymowana zgarbiona kobieta z niższej klasy wyglądająca jak ubłocona kaczka niuchająca wśród odpadków. Za nią, podrygując, podążała mała pulchna kobietka ze średniej klasy średniej, zarumieniona, niosąca pod pachą egzemplarz *Sagi rodu Forsyte'ów* – tytułem na zewnątrz, żeby przechodnie brali ją za intelektualistkę.

Gordon porzucił kwaśną minę. Powitał przybyłe ze swojską zażyłością domowego lekarza zarezerwowaną dla klientów wypożyczalni.

– Witam, pani Weaver. Witam, pani Penn. Cóż za straszliwa pogoda!

– Okropna! – przyznała pani Penn.

Odsunął się, żeby pozwolić im wejść. Pani Weaver odwróciła do góry nogami swój koszyk, wytrząsając na podłogę mocno zaczytany egzemplarz *Silver Wedding* Ethel M. Dell. Na jego widok pani Penn błysnęła jasnymi ptasimi oczami. Za plecami pani Weaver uśmiechnęła się protekcyjnie do Gordona, jak intelektualistka do intelektualisty. Dell! Samo dno! Cóż za książki czytają te niższe klasy! Odpowiedział jej porozumiewawczym uśmiechem. Przeszli do wypożyczalni, uśmiechając się do siebie – intelektualista do intelektualistki.

Pani Penn położyła na stole *Sage rodu Forsyte'ów* i zwróciła do Gordona swoją wróblą pierś. Zawsze była wobec niego uprzejma. Zwracała się do niego per „panie Comstock”, chociaż był tylko sprzedawcą, i prowadziła z nim literackie rozmowy. Łączyło ich intelektualne wolno-myślicielstwo.

– Mam nadzieję, że podobała się pani *Saga rodu Forsyte'ów*, pani Penn.

– Ta książka jest absolutnie *cuda*wnym osiągnięciem, panie Comstock! Uwierzy pan, że przeczytałam ją czwarty raz? Epopeja, prawdziwa epopeja!

Pani Weaver myślała wśród książek, zbyt nierozgarnięta, żeby zauważyć, że stoją w porządku alfabetycznym.

– Nie wiem, co se wziąć w tym tygodniu, czego nie miałam – mamrotała niechlujnie. – Moja córka, to ona mówi, cobym spróbowała Deepinga. Ona to uwielbia Deepinga, ta moja córka. Ale mój zięć to jest teraz bardziej za Burroughsem. Nie wiem, nie jestem pewna.

Na wzmiankę o Borroughsie pani Penn zmarszczyła brwi. Znacząco odwróciła się plecami do pani Weaver.

– Jak mi się zdaje, panie Comstock, w Galsworthym jest coś *wielkiego*. Jest taki epicki, taki uniwersalny, a jednocześnie tak głęboko angielski duchem, taki *ludzki*. Jego książki to prawdziwe dokumenty o *ludziach*.

– Także Priestley – powiedział Gordon. – Uważam Priestleya za nadzwyczaj dobrego autora, a pani?

– Och tak! Taki wielki, epicki, taki ludzki! I tak nadzwyczaj angielski.

Pani Weaver zacisnęła wargi. Za nimi znajdowały się trzy pojedyncze poślółkle zęby.

– Myślę, że chyba najlepiej będzie, jak se wezme jeszcze jedną Dell – stwierdziła. – Macie jeszcze jakieś jej książki, co? Lubię se poczytać Dell, muszę przyznać. Mówię se do córki, tak jej mówię: „Zatrzymaj sobie tych Deepingów i Burroughsów. Daj mi Dell”, mówię.

Ding, dong, Dell! Książęta i szpicruty! Wzrok pani Penn sygnalizował intelektualną ironię. Gordon odwa-

jemnil jej sygnał. Trzeba trzymać z panią Penn! To dobra stała klientka.

– Och, z pewnością, pani Weaver. Mamy całą półkę z Ethel M. Dell. Chciałaby pani *Desire of his Life*? A może już to pani czytała? W takim razie może *The Altar of Honour*?

– Zastanawiam się, czy macie najnowszą książkę Hugh'a Walpole'a – wtrąciła się pani Penn. – W tym tygodniu jestem w nastroju na coś epickiego, coś *wielkiego*. Co do Walpole'a, widzi pan, to uważam go za naprawdę wspa-
niałego pisarza, stawiam go zaraz na drugim miejscu po Galsworthym. Jest w nim coś wielkiego. A jednak, jest w tym taki ludzki.

– I tak głęboko angielski – rzekł Gordon.

– Och, oczywiście! Bardzo angielski!

– Chyba weznie se jeszcze raz *The Way of an Eagle* – zdecydowała w końcu pani Weaver. – *The Way of an Eagle* nigdy się człekowi nie znudzi, co nie?

– Z pewnością; jest zdumiewająco popularna – dyplomatycznie stwierdził Gordon, patrząc na panią Penn.

– Och, *zdumiewająco!* – ironicznie zawtórowała mu pani Penn, spoglądając na niego.

Wziął od nich po dwa pensy i wypuścił je, obie szczęśliwe, panią Penn z *Rogue Herries* Walpole'a, a panią Weaver z *The Way of an Eagle*.

Potem wrócił do poprzedniego pomieszczenia i do półek z poezją. Darzył je melancholijną fascynacją. Była tam jego nieszczęsna książka – oczywiście pod sufitem, wysoko wśród niechodliwych pozycji. *Myszy* Gordona Comstocka, marna cienka ósemka w formacie papieru kancelaryjnego, w cenie trzech szylingów i sześciu pensów, ale teraz obniżonej do szylinga. Z trzynastu kpów, którzy ją recenzowali (a dodatek literacki „The Times” uznał po-

zycję za „nadzwyczaj obiecującą”), żaden nie zauważył niezbyt wyszukanego żartu, kryjącego się w tytule. A w ciągu dwóch lat jego pracy w księgarni McKechniego ani jeden klient, dosłownie, ani jeden, nigdy nie zdjął *Myszy* z półki.

Pólek z poezją było piętnaście czy dwadzieścia. Gordon przyglądał się im kwaśno. W większości badziewie. Nieco powyżej poziomu wzroku, już w drodze do nieba i zapomnienia, znajdowali się przebrzmiali poeci, gwiazdy jego wczesnej młodości. Yeats, Davies, Housman, Thomas, De la Mare, Hardy. Zgasłe gwiazdy. Pod nimi, dokładnie na wysokości wzroku, stały petardy bieżącej chwili. Eliot, Pound, Auden, Campbell, Day Lewis, Spender. Zamokle petardy, to ta grupa. Zgasłe gwiazdy na górze, zamokle fajerwerki na dole. Czy jeszcze kiedykolwiek będziemy mieli pisarza wartego lektury? Ale Lawrence był spoko, a Joyce nawet lepszy, zanim ześwirował. A jeśli pojawiłby się pisarz wart czytania, to czy poznalibyśmy się na nim, tak przytłoczeni szmirą?

Dzyń! Dzwonek nad drzwiami. Gordon się obrócił. Kolejny klient.

Lekkim, jakby kobiecym krokiem wszedł dwudziestolatek o złocistych włosach i wargach jak wiśnie. Forsiasty, oczywiście. Otaczała go złota aura szmalu. Nigdy wcześniej tu nie zawitał. Gordon przybrał laskawie-służalczą minę, zarezerwowaną dla nowych klientów. Wypowiedział zwykłą formułkę powitania:

– Dzień dobry. Czym mogę służyć? Szuka pan jakiejś konkretnej książki?

– Och nie, łaczej nie. – Pedziowaty, grasejujący głos. – Mogę się po płostu łozejrzyć? Nie mogłem się oprzeć waszej witlinie. Mam stłaszliwą słabość do księgań! Więc po płostu wszedłem – hi, hi!

No to wypad, cioto. Gordon uśmiechnął się kulturalnie, jak bibliofil do bibliofila.

– Ależ proszę, oczywiście. Miło nam, gdy klienci się rozglądają. Interesuje się pan może poezją?

– Och, oczywiście! *Uwielbiam* wiesz!

Jasna sprawa! Parszywy mały snob. Jego strój miał w sobie coś lekko artystycznego. Gordon zdjął z półki z poezją cienki czerwony tomik.

– To dopiero co wyszło. Być może pana zainteresują. To tłumaczenia – coś raczej niezwykłego. Przekłady z bułgarskiego.

To było bardzo sprytne. Teraz zostaw go samemu sobie. To właściwy sposób postępowania z klientami. Nie popędzać ich; pozwolić im kartkować przez jakieś dwadzieścia minut; potem czują się zawstydzeni i coś kupują. Gordon dyskretnie przesunął się ku drzwiom, trzymając się z dala od geja; jednak swobodnie, z ręką w kieszeni, z nonszalancją właściwą światowcowi.

Oślizgła ulica na zewnątrz wyglądała szaro i ponuro. Skądś zza rogu dobiegł stukot kopyt; zimny, pusty dźwięk. Porwane przez wiatr ciemne kolumny dymu z kominów skręcały się i splywały po spadzistości dachów. Ach!

*Złowróźbny wicher ostro dmie,
gnąc topole, świeżo obnażone.
A z kominów ciemne wstążki
Wirują tamta-ramta (coś jak „męty”) strwożone.*

Dobre. Ale natchnienie uleciało. Spojrzenie Gordona padło ponownie na plakaty reklamowe po drugiej stronie ulicy.

Niemal chciało mu się z nich śmiać, były takie kiepskie, bez ikry, tak niezachęcające. Jak mogły kogoś skusić! Niczym sukuby z krostowatymi plecami. Mimo to ogromnie go przygnębiały. Smród pieniędzy, wszędzie smród forsy. Zerknął na pedzia, który odpłynął od półek z poezją i wyjął wielki, drogi album o rosyjskim balecie. Trzymał go delikatnie w różowych niechwytnych łapkach, jak wieiórka orzech, przyglądając się uważnie zdjęciom. Gordon znalazł ten typ. Nadziany „artystyczny” młody gostek. Sam właściwie nie artysta, ale fan sztuki; bywalec malarskich atelier, plotkujący o skandalach. Jednak całkiem miły chłopak, przy całej swojej pedałowatości. Skórę na karku miał jedwabście gładką, jak wnętrze muszli. Nie można mieć takiej skóry przy dochodach poniżej pięciuset funtów rocznie. Miał swego rodzaju wdzięk, urok, jak wszyscy dziani ludzie. Forsa i wdzięk; nie da się ich rozdzielić.

Gordon pomyślał o Ravelstonie, swoim czarującym bogatym przyjacielu, wydawcy „Antychrysta”, człowieku, którego nadzwyczajnie lubił, ale nie widywał częściej niż raz na dwa tygodnie; i o Rosemary, swojej dziewczynie, która go kochała – uwielbiała go, jak mówiła – a która mimo to nigdy z nim nie spała. Ponownie, forsa; wszystko to kasa. Za wszelkie stosunki międzyludzkie trzeba płacić. Jeśli nie masz pieniędzy, mężczyźni będą mieli cię gdzieś, kobiety nie będą cię kochały; to znaczy nie będą dbać o ciebie czy cię kochać w takim stopniu, jaki się liczy. I właściwie mają rację! Gdyż bez forsy jesteś odstręczający. Gdybym mówił językami ludzi i aniołów... Jeśli jednak nie mam forsy, to nie mówię językami ludzi i aniołów.

Znowu spojrzal na plakaty. Naprawdę ich teraz nienawidził. Na przykład ten o Vitamalcie! „Wędruj cały dzień o tabliczce Vitamaltu!”. Młodzi ludzie, chłopak